

Borys Malkin jest etnografem i entomologiem, podróżnikiem i fotografem, naukowcem i kolekcjonerem. Przez ponad czterdzieści lat (1953–1994) intensywnie podróżował, gromadząc na zlecenie muzeów i uniwersytetów kolekcje etnograficzne i entomologiczne.

Stworzył zbiory obiektów etnograficznych liczące około 15 000 egzemplarzy. Badał kultury 42 różnych społeczności Ameryki Południowej. Na 40 000 klisz fotograficznych utrwalił sceny z życia tubylców obu Ameryk oraz nakręcił kilkanaście filmów dokumentalnych.

Jest jednym z ostatnich dwudziestowiecznych kolekcjonerów działających w Ameryce Południowej. Jego badania mają szczególną wartość, ponieważ pracował w trakcie wielkich przemian kulturowych, które nieodwracalnie zmieniły charakter tubylczych społeczności.

W Polsce jego zbiory etnograficzne można oglądać w muzeach w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Warszawie i Szczecinie.

Fitzcarraldo

Z Borysem Malkinem rozmawia Artur Karwat



FOT. BORYS MALKIN

Panie Borysie, kiedy czytałem Pana biografię, przypomniała mi się historia o pewnym szamanie Nawaho. Był on skarbnicą wiedzy swojego plemienia, znał mnóstwo rozbudowanych, wielowątkowych mitów, rytuały i pieśni. Pytany o wybór swego następcy, stwierdził, że nie sposób już znaleźć odpowiedniego ucznia zdolnego to wszystko zapamiętać. Pamięć i pewna wrażliwość zabijane są przez inny rodzaj wiedzy – szkolny. Pan często zmieniał gimnazja i nie był Pan prymusem. Ale sądząc po Pana osiągnięciach, szkoła nie zdołała zatrzeć w Panu prawdziwej pasji.

Nigdy nie zależało mi na zbieraniu stopni. Jeżeli jednak mnie coś zainteresowało, to dostawałem dobre oceny. Na ogół było jednak inaczej.

A co Pana interesowało najbardziej?

Podróże. Namietnie oglądałem i przerysowywałem mapy, na których Polska była zawsze większa niż w rzeczywistości. Dyrektor mojego gimnazjum dostrzegł także moje wyjątkowe zainteresowanie przyrodą i podsuwał mi do czytania odpowiednią literaturę. Wtedy też zacząłem zbierać i kolekcjonować owady.

Skupił się Pan bezkompromisowo na kilku rzeczach, które interesowały Pana najbardziej, i popłynął Pan przez życie wiedziony pasją. Skąd ona się wzięła? Czy to zasługa wychowania, rodziny?

Robię to, co lubię. W mojej rodzinie nikt nie miał tak egzotycznych zainteresowań. Mój ojciec swego czasu dużo fotografował, ale można powiedzieć, że pierwszym mistrzem był mój nauczyciel Tennenbaum – to on zaraził mnie miłością do owadów. Dużo później znalazłem poparcie dla swoich zainteresowań etnozoologicznych na uczelni w USA. Wydawałem się

do nich szczególnie predestynowany z powodu znajomości przyrody i etnografii, choć nikt początkowo nie chciał prowadzić takich badań. Przeniosłem się do Minneapolis. Tam zaczęła się moja czterdziestoletnia podróż.

Nim jednak zaczął Pan pracować jako wykładowca w Minneapolis, spędził Pan rok w zachodniej Afryce.

Do Afryki wybrałem się z moim przyjacielem z Nigerii, którego poznałem w Londynie. Zbierałem owady i robiłem zdjęcia.

Potem podróżował Pan po zachodnich Stanach.

Pracowałem wtedy na uniwersytecie w stanie Waszyngton. Miałem być inkubatorem dla świeżo wyklutych magistrów i zostać na uczelni. Woląłem jednak podróżować. Mojej pani profesor powiedziałem, że nie znoszę zimna, więc muszę podróżować. Przemierzaliśmy Góry Skaliste. Przede wszystkim skupiliśmy się na wulkanicznych Górach Kaskadowych zamieszkałych przez białych osadników i tubylców. Raczej nie odwiedzaliśmy indiańskich rezerwatów. To była wyprawa przyrodnicza – zbieraliśmy owady. Jeździliśmy ambulansem z demobilu. Mieliśmy duże zniżki na benzynę jako pracownicy uniwersytetu. Potem dostałem grant z mojego zakładu na pierwsze poważne badania etnograficzne. Udałem się do Indian Seri mieszkających na Półwyspie Kalifornijskim w Meksyku.

Był Pan wtedy niedoświadczonym naukowcem. Jak Pan sobie radził?

Było to prostsze, bo nie spodziewałem się, że ci Indianie będą mnie kochać. Zdarzało się, że ktoś był niezadowolony, nie chciał rozmawiać. Wtedy ja odpowiadałem tym samym – nie

chcesz, nie musisz. Mieliśmy takich kolegów, którzy prowadzili fatalne badania w terenie. Gdy któryś z Indian, w ich mniemaniu, źle się zachował, od razu tracili ducha. Mnie to nie ruszało. Miałem już w końcu za sobą jakiś etap w wojsku.

Tutaj Borys Malkin zamilkł na chwilę, przymknął oczy i powiedział: *Listen you guys! Remember, you are in the army now. We will make you a grown up man. You play ball with us, we play ball with you.*

We wszystkich armiach świata mówią to samo.

Tak. Poza tym pracowałem wcześniej w największej stoczni w Stanach. Po tej pracy i po służbie w wojsku nie miałem problemów z badaniami w terenie. Byłem też starszy i bardziej doświadczony od moich kolegów.

W jaki sposób organizował Pan swoje podróże?

Nawiązywałem kontakt i współpracowałem z rozmaitymi instytucjami. Szczególnie często wyjeżdżałem na zlecenie Muzeum Historii Naturalnej w Chicago, bo przyjaźniłem się tam z kustoszem. Wybierałem teren i plemię, które mnie interesowało. Sugerowałem miejsce, w które chcę pojechać. Dostawałem fundusze i udawałem się w teren. To zawsze odbywało się w ten sposób. Bardzo rzadko narzucano mi – za moją zgodą oczywiście – inne plemię niż to, które ja miałem w głowie.

Podróżował Pan zawsze z ogromnym bagażem, wracał Pan ze zbiorami. Jak to wyglądało od strony technicznej?

Wynajmowałem ludzi i płaciłem za transport. Wszystkie zbiory przywoziłem do laboratorium w zakładzie. Sprzęt, żywność były zapakowane

w skrzyniach i podzielone, aby można było je racjonować. Często wracałem też do tych samych plemion, ponieważ zaprzyjaźniałem się z Indianami. Wtedy oni prosili mnie, żebym przywiózł jakieś konkretne rzeczy, najczęściej broń i haczyki na ryby. Oni, w zamian, dostarczali mi eksponaty. Prowadziłem po części handel wymienny.

Pana mieszkanie nie przypomina muzeum, choć można by się tego spodziewać.

Nie zbierałem eksponatów dla siebie, robiłem prezenty innym.

Dlaczego dziś niewielu ludzi poświęca się tak drobiazgowemu i pracochłonnemu kolekcjonerstwu?

Istnieją nadmierne ułatwienia. Można dalej jeździć, ale wszystkie potrzebne elementy załatwia się na odległość, bez wysiłku. Zmienia się charakter takiej pracy.

Czy może Pan powiedzieć o sobie, że jest człowiekiem pracowitym?

Nie.

Jak to możliwe, skoro z taką sumiennością i starannością przez tyle lat jeździł Pan po świecie i kolekcjonował? Jak to inaczej nazwać?

Jestem leniwy.

Przez czterdzieści lat zebrał Pan milion sztuk owadów!

Owady są małe i bardzo liczne.

Do tego ogromne zbiory etnograficzne wśród ludów, których część zdążyła już do tej pory zniknąć.

Tak, to prawda, zniknęły one albo zamieniły się w lumpenproletariat dżungli. O Indianach mówi się, że są cywilizowani, kiedy noszą na sobie cuchnący i postrzępiony podkoszulek. Oni w większości pragną czerpać z osiągnięć naszej cywilizacji, nie chcą być izolowani.

Czy kiedykolwiek był Pan turystą?

W najprostszym rozumieniu tego słowa – nie.

Dziś coraz łatwiej jest podróżować, ale mam wrażenie, że coraz mniej rozumiemy miejsca i ludzi, do których się udajemy. Czy zgodzi się Pan, że jest to jakiś paradoks?

Tak. Pomiędzy turystą a tubylcem wytwarza się przepaść wynikająca z samej sytuacji. W zorganizowanej grupie zaczynamy bardziej interesować się sobą niż otoczeniem. Z tym wiąże się moja krytyczna ocena Margaret Mead, która uważała, że trzeba badać, podróżując grupami, żeby obserwacjami wzajemnie zapładniać swoje umysły. Ja wolę podróżować sam, bo wtedy zamieniam się w słuch i wzrok.

Widział Pan wiele ciekawych miejsc. Jeśli mógłby Pan wybrać, to gdzie chciałby Pan mieszkać?

Mam dwa ulubione miejsca, kompletnie przeciwstawne. Jedno to Anglia, pomimo mojej niechęci do wilgotnego zimna. Bardzo mi

odpowiada angielski charakter. Drugie to São Paulo.

Rzeczywiście, to dwa zupełnie nieprzystające do siebie miejsca. Wiem również, że jest Pan miłośnikiem opery. Kolejne przeciwieństwo?

Opera i podróże, wbrew pozorom, nie są od siebie tak odległe. Muzyka to też podróż.

Czy jest Pan niespełnionym śpiewakiem?

Kiedy mieszkałem przed wojną w Polsce, dochodziły nas słuchy, że mamy krewną, która zrobiła fenomenalną karierę w Ameryce. Traktowałem to jako plotkę, ale kiedy się tam zjawiłem, niebawem poznałem tę niezwykłą osobę. Była śpiewaczką operową. Kocham muzykę, więc bardzo często spotykaliśmy się na przedstawieniach, na które mnie zapraszała. Mówiła, że mam dobry głos, zaproponowała mi grant i studia muzyczne. Miałem zostać tenorem lirycznym. Kto wie, kim byłbym dzisiaj? Ale odmówiłem, jakoś mi to nie odpowiadało, wolałem podróżować...

Przypomina mi to historię Herzoga i jego film Fitzcarraldo. Może występowałby Pan w operze w Manaus, w środku dżungli?

Odwiedziłem kiedyś to miejsce, ale wątpię, że mógłbym tam śpiewać.



FOT. ARTUR KARWAT

- 1917 – rodzi się w Witebsku, na terenie dzisiejszej Białorusi
- 1918 – jego rodzina przenosi się do Warszawy
- 1938 – wyjeżdża do Nowego Jorku
- 1941 – uczęszcza do szkoły zawodowej w Oregonie
- 1941 – University of Oregon
- 1942 – otrzymuje obywatelstwo amerykańskie
- 1942 – rozpoczyna czteroletnią służbę wojskową na terenie Australii i Oceanii
- 1946 – University of Oregon
- 1947 – Londyn, University College
- 1948 – wyjeżdża na rok do Afryki
- 1949 – University of Washington
- 1952 – podróżuje po zachodnich stanach USA
- 1953 – rozpoczyna badania wśród Indian Seri i 40-letnią podróż
- 1957 – otrzymuje stanowisko wykładowcy w University of Minnesota
- 1994 – prowadzi badania w Paragwaju

W 2007 roku ukazała się książka *Odchodzący świat*, dokumentująca podróże Borysa Malkina.